

Wielkopolski

Z pradziejów
wielkopolskiego etosu

(rzemiosło

1

W KRĘGU SPRAW PODSTAWOWYCH

Wielkopolski etos i
kultura. Tradycja i
Ciepłota. Z
głębokością i
poczuciem
obowiązku. W
Głównym
i kultury. Z
Z
wielką
Z
wielką



Pomnik bojowników o polskość w Zakrzewie

Z pradziejów wielkopolskiego ethosu pracy (rzemiosło we wczesnośredniowiecznym Gnieźnie)¹

Przywykło się mówić o gospodarnej, dobrze zorganizowanej, a zarazem głęboko patriotycznej Wielkopolsce. Coraz częściej mówi się o ks. Piotrze Wawrzyniaku, o Hipolicie Cegielskim, o Dezyderym Chłapowskim i innych, którzy przyczynili się do społeczno-gospodarczej sily Wielkopolski. Coraz częściej też przypomina się jedyne zwycięskie powstanie – powstanie wielkopolskie. Mało kto jednak wie, że tradycje nowoczesnej organizacji pracy mają w Wielkopolsce rodowód już z wczesnego średniowiecza.

Gnieźno to nie tylko legendarna pierwsza stolica Polski oraz ważny ośrodek polityczny i kościelny. To także historia tamtejszego wczesnośredniowiecznego rzemiosła.

Z książki niezwykłego już wybitnego polskiego uczonego, znakomitego archeologa, Kazimierza Żurowskiego przytaczamy cały rozdział o Gnieźnie, który Profesor zatytułował «Zręczne ręce». Dzięki temu Czytelnicy **ziemi** będą mogli zapoznać się z wizerunkiem cywilizacji Gnieźna na długo przed, a także po historycznym Zjeździe.

Czarodzieje ognia

„Są zręczni i obznajomieni ze swym zawodami” – pisał o rzemieślnikach gnieźnieńskich w XII wieku geograf arabski al-Idrisi, znany w owym czasie obieżyświat. Aby się przekonać, o ile słuszna jest pochwała tego podróżnika, proponuję zwiedzić niektóre pracownie rzemieślnicze i obejrzeć wyroby gnieźnieńskich specjalistów z wczesnego średniowiecza.

Lecz mógłby ktoś zapytać, skąd we wczesnym średniowieczu wzięli się rzemieślnicy? Przecież dawniej każdy sam sporządzał sobie potrzebne narzędzia i różnego rodzaju przedmioty nieodzowne w gospodarstwie domowym. Otóż w miarę wzrostu dóbr możnowładców zaczął się coraz wyraźniej zarysowywać podział pracy w obrębie poszczególnych gałęzi produkcji, zapoczątkowany zresztą już znacznie wcześniej.

¹ Fragment książki Kazimierza Żurowskiego, *Gnieźno pierwsza stolica Polski*, Wydawnictwo „Książka i Wiedza” 1966.

Zręczniejsi rękodzielnicy coraz częściej wytwarzali tylko takie przedmioty, które potrafili sporządzić najlepiej. Nabierali też coraz większej wprawy w swojej specjalności, a poświęciwszy się głównie jednemu kierunkowi, stawali się rzemieślnikami. Wyodrębnianiu się we wczesnym średniowieczu coraz to nowych rzemiosł sprzyjały ówczesne warunki. Moźni właściciele dóbr bowiem ściągali do swych posiadłości zręczniejszych specjalistów i obsadzali ich na podgrodziach.

Dobre warunki rozwoju znalazło rzemiosło i w Gnieźnie, centralnym ośrodku władzy, które z racji swej rangi rozbudowywało się stale. W miarę rozbudowy Gniezna wzrastał w nim też popyt na różne wyroby rzemieślnicze, a to z kolei powodowało napływ nowych specjalistów. Zwiększały się też wymagania odbiorców, toteż dobrzy rzemieślnicy cieszyli się szacunkiem, a wyroby ich łatwo znajdowały nabywców.

Nie wszystkie jednak rzemiosła wyodrębniały się równocześnie, gdyż mniej skomplikowane przedmioty wykonywano nadal w każdym gospodarstwie. Jedyne metalurgia, czyli obróbka metali – zajęcie wyjątkowo trudne i wymagające dłuższego szkolenia – od samego początku była w rękach specjalistów. Możemy jej więc śmiało nadać miano pierwszego rzemiosła.

Najwcześniej, bo już na początku epoki brązu, na naszym terenie zaczęła się rozwijać metalurgia brązowa. Rozwój zaś rodzimej metalurgii żelaznej u Słowian zaczyna się na dobre dopiero w ostatnim wieku przed naszą erą, choć wyroby żelazne i surowiec otrzymywali z wymiany handlowej już kilka wieków wcześniej. Zajęcie to od samych początków spoczywało w rękach kowala. On sam początkowo wytapiał żelazo z miejscowej rudy darniowej, obficie zalegającej pobliskie tereny bagniste, a następnie z odpowiednio przygotowanego surowca wykonywał różne przedmioty.

Kiedy jednak zapotrzebowanie na produkty żelazne znacznie wzrosło, wytapianiem żelaza zajęli się hutnicy, do kowali zaś należała już tylko sama obróbka gotowego surowca żelaznego. Dzięki temu podziałowi pracy w zakresie metalurgii powstały dwa rzemiosła: hutnictwo i kowalstwo.

Hutnicy i kowale, mający w swej pracy zawsze do czynienia z ogniem czczonym w czasach pogańskich, wykonujący nierzadko zabiegi dentystryczne lub medyczne, cieszyli się dużym autorytetem. Wzbudzali też swymi umiejętnościami podziw i lęk, a poniekąd posądzano ich nawet o zdolności i zabiegi czarodziejskie.

Z biegiem czasu wyodrębniali się spośród kowali różni specjaliści, którzy zajęli się wyrobem przedmiotów metalowych w węższym zakresie. Tak na przykład ostrogi, części uzbrojenia ochronnego, jak hełmy, kolczugi oraz broń – miecze, groty do strzał z łuku i belty do kuszy – stosowanej od XI w. – wykonywali płatnerze. Wyrób noży był specjalnością nożowników, ozdoby metalowe wytwarzali złotnicy.

Ze względu na niebezpieczeństwo wzniesienia pożaru w obrębie osiedla otoczonego wałami, gdzie zabudowania stały blisko siebie, metalurzy, a zwłaszcza hutnicy pracowali na zewnątrz wałów.

Hutnicy wytapiali żelazo w małych piecach zwanych dymarkami. Były to piece gliniane o całkiem prostej budowie. Wykonywano je w ten sposób: kopano w pierze w ziemi jamę głęboką na 40–50 cm, w rzucie poziomym okrągłą, o średnicy około 30–40 cm. Nad tą jamą budowano z gliny naziemną część pieca w formie stożkowej kopuły. Piec taki posiadał dwa otwory: jeden większy u góry, przez który wsadzano węgiel drzewny i rudę, a drugi – mały, zrobiony w ścianie tuż przy ziemi, służył do wtłaczania do wnętrza powietrza.

Przystajemy na chwilę w pobliżu dymarki, aby podpatrzeć, jakich „czarów” używa hutnik. Właśnie zastajemy go przy ładowaniu kotliny pieca rudą darniową, odpowiednio przygotowaną, to znaczy wyplukaną z piasku, a następnie wyprażoną w ogniu i zmieszaną z węglem drzewnym. Hutnik wkłada ją do pieca przez górny otwór na uprzednio już rozżarzony węgiel znajdujący się w dolnej części kotlinki pieca. Poprzez glinianą dyszę tkwiącą w otworze ścianki pieca pomocnik hutnika wtłacza powietrze za pomocą miecha, pomagając sobie przy tym nogami.

Gdy piec otrzyma przewidzianą porcję rudy – około 200 kg – hutnik staje obok pomocnika i teraz już wspólnie pracują przy miechach, aby wtłoczyć jak najwięcej tlenu potrzebnego do spalania węgla i odtlenienia żelaza. Praca hutników jest bardzo ciężka. Pot sływa po ich zaczerwienionych z wysiłku i gorąca twarzach, bo wytapianie żelaza, które w języku fachowym nazywa się redukcją rudy, przebiega w bardzo wysokiej temperaturze. Pod koniec wytopu temperatura sięga nawet powyżej 1100°C. Żar więc okrutny dokucza dotkliwie naszym „czarodziejom ognia”.

Po upływie 6–12 godzin od chwili załadowania pieca, bo tyle mniej więcej czasu trwa proces wytapiania żelaza z tej ilości rudy, jaka mieściła się w takich dymarkach, hutnik bierze kij, wsuwa go z góry przez otwór w głębi pieca i manewrując nim zręcznie powoduje skupianie się gąbczastej masy wyprodukowanego żelaza w „łupkę”. Po ochłodzeniu pieca wyjmuje łupkę, ale przy tej czynności piec się niszczy. Służył więc tylko do jednorazowego wytopu.

Pełny ładunek dymarki wynosił około 200 kg. Hutnik otrzymywał z niego około 10 kg miękkiej stali. Była ona jednakże zanieczyszczona domieszką żużla i węgla, przeto hutnik musiał ją jeszcze wielokrotnie podgrzewać na ogniu i przekuwać na kowadle, aby po usunięciu nadmiernego zanieczyszczenia otrzymać surowiec nadający się do dalszej obróbki. Tak przygotowana stal dostawała się już w ręce innego „czarodzieja” – kowala.

Wejźmy do jego kuźni. Znajdziemy ją zapewne w pobliżu dymarek. W niej to odbywa się czarodziejski obrzęd zamiany niepozornych kawałków stali w różne przedmioty potrzebne ludziom przy rozmaitych okazjach. Zastajemy kowala przy bardzo ciekawej robocie. Trafiliśmy bowiem do pracowni kowala-nożownika, świetnego specjalisty, trudniącego się wyrobem pięknych i niezwykle trwałych noży ze stali. Kowale gnieźnieńscy już w okresie wczesnośredniowiecznym umieli przerabiać stal miękką na twardą i świetnie naśladowali tzw. damasceńskie noże, wyrabiane wprawdzie w Damaszku, ale ze stali przywożonej z Indii.

Kuźnia, w której się zatrzymaliśmy, wyrabia takie damasceńskie noże. Kowal w skórzanym fartuchu rozpoczyna właśnie tajemnicze misterium. W jednej ręce trzyma kleszcze, a w nich sztabkę stali miękkiej, nawęglonej i rozgrzaną. Kładzie ją na kowadle i rozklepuje młotem, że robi się coraz cieńsza.

Kiedy osiągnie odpowiednie rozmiary, kowal przystępuje do przygotowania drugiej składowej części klingi noża. W tym celu skręca druty ze stali miękkiej i twardej, potem nagrzewa je do odpowiedniej temperatury i przekuwa w sztabkę, wyglądającą jak wzorzysty pasek. Następnie wykonuje trzecią część ze stali miękkiej, rozklepując ją jak poprzednie.

Tak przygotowane sztabki łączy z sobą, nakładając brzegi kolejnych części na siebie i sklepując je aż do całkowitego połączenia. Proces łączenia części odbywa się po nagraniu do odpowiedniej temperatury (około 1275–1400°C). Tę czynność nazywamy zgrzewaniem.

Ostatnią, to jest czwartą z kolei część noża, która ma stanowić ostrze, kowal przygotowuje ze stali twardej. Aby połączyć ją w całość z poprzednio zgrzanyimi częściami, wybija ostrym narzędziem ząbki u jednego jej boku i takie same ząbki u trzeciej ze zgrzanych już sztabek. Następnie ząbkowane brzegi łączy zsuwając je i zacieśniając z sobą, a po zgrzaniu i sklepaniu nadaje kłindze odpowiedni kształt i wielkość.

Teraz jeszcze tylko połączy ją z przygotowanym uprzednio uchwytem z drewna lub rogu, ozdobionym delikatnym wzorem, i wspaniały, mocny nóż jest gotów. Na pewno nie złamie się przy zetknięciu z pancerzem wroga.

Oprócz wyżej opisanych noży bojowych wyrabiano też duże ilości zwykłych noży ze stali twardej i miękkiej, służących do codziennego użytku.

Gnieszno miało także swoich złotników, to znaczy rzemieślników zajmujących się obróbką metali kolorowych, a więc złota, srebra, miedzi, cyny, ołowiu. Działalność ich na terenie Gnieszna zdradził nam mały nie rzucający się w oczy ślad w postaci płytki rogowej z tajemniczymi otworkami różnej wielkości. Bo ta niepozorna płytka była kiedyś bardzo ważnym przyrządem w pracowni złotnika. Bez niego nie mógłby on ciągnąć drutu ze srebra i złota, z których wówczas wyrabiano misterne a wielce modne ozdoby, aby piękne mieszkanki stołecznego grodu mogły nimi upiększać swój strój.

A było w czym wybierać. Bo to i kolczyki, i naszyjniki, i różne wisiorki, pierścienie, zausznice rzucały uroczym blaskiem w oczy, a wabiły, a kuściły. Największe jednak powodzenie miały kabłączki skroniowe, przypinane do opaski z barwnej tkaniny, dzwoniące wesoło przy każdym poruszeniu głowy. Wszystko pięknie i starannie wykonane, z zastosowaniem najbardziej nowoczesnych skomplikowanych technik, jak platerowanie, czyli pokrywanie wyrobów metalowych warstwą metalu szlachetniejszego, stosowane dziś zwykle przy zastawach stołowych; inkrustacja, czyli wprawianie ornamentów z metali w innych kolorach, filigran reprezentujący piękne wyroby z drucików i tasiemek czy wreszcie granulacja, w której misterne wzory powstawały z drobnutkich kuleczek srebra lub złota.



Kobieta z kabłączkami skroniowymi

Szlachetne techniki zdobnicze stosowano nie tylko przy wyrobie biżuterii. Często widzimy je na broni, np. na znalezionych w Łubówku koło Gniezna pięknych okazach topora bojowego i grotu włóczni, inkrustowanych srebrem i brązem.

W omawianych czasach powstał też najcenniejszy zabytek sztuki romańskiej, mówiący najwyraźniej o wyżynach rozwoju polskiego złotnictwa, drzwi gnieźnieńskie, odlane z brązu najprawdopodobniej przez miejscowych mistrzów.

Rogi w szczawiowym sosie i inne dziwności

We wczesnym średniowieczu ciągle jeszcze wiele przedmiotów wyrabiano z rogu i kości. Obróbka tego surowca, o bardzo starych tradycjach, bo sięgających starszej epoki kamiennej, w niektórych wypadkach stanowiła intrygującą zagadkę. Piękne naramienniki z giętych kości żeberowych, różne przedmioty z twardych rogów jelenia, sarny czy losia ze śladami swobodnego strugania nożem intrygowały

archeologów i pobudzały do różnych prób w nadziei, że zdobędą odpowiedź na pytanie: w jaki sposób tak twardy i oporny na krajanie materiał – róg i kość – zmuszano do uległości? Czyniono wiele mozolnych doświadczeń, a tymczasem sprawa okazała się nadzwyczaj prosta.

Było to któregoś upalnego lata na uroczej wyspie zwanej Ostrowem Lednickim, znanej ze *Starej baśni* Kraszewskiego. Na tej wyspie około 1000 lat temu urodził się rzekomo wielki Bolesław. Szedłem wąską ścieżyną pomiędzy bujnie rozrośniętym szczawiem, a że z powodu gorąca zachciało mi się pić, schyliłem się i uszczknąłem kilka świeżych liści, aby ich kwasem zaspokoić pragnienie.

I wtedy przypadkowo znalazłem klucz do zagadki... Szczaw posiada silny kwas, który znali ludzie od najdawniejszych czasów, kiedy to jeszcze żywili się tylko tym, co dostarczyła im sama przyroda. A może? – pomyślałem i narwawszy całe naręcze kwaśnego zielska, poszedłem do schroniska. Drobnopokrajany szczaw zmienił się po jakimś czasie w skisniętą papkę, do której powędrowały kawałki rogu jelenia.

Teraz już wszystko stało się jasne. Rozmiękły róg prawie przez dwa dni od chwili wyjęcia go z kiszonki był łatwy do obróbki. A więc w tym czasie wytwórca mógł nadawać mu pożądane kształty. Jeżeli robota nie była wykończona w ciągu jednego dnia, przedmiot wrzucano na noc do kwasu, aby dłużej zachował pożądaną miękkość. Kiedy działanie kwasu ustawało, przedmioty z rogu czy kości stawały się znowu twarde i odporne wobec noża. Później przekonałem się, że surowiec ten można zmiękczać i w innych kwasach organicznych łatwo dostępnych, a więc w kiszonej kapuście czy kwaśnym mleku.

Za szyb wystawowych muzeum gnieźnieńskiego czarują nas grzebienie rogowe o bardzo wysokim poziomie wykonania. Wyszły widocznie z pracowni nie byle jakiego specjalisty. Na efektowną całość składa się kilka ząbkowanych płytek połączonych pięknie ozdobionymi okładzinami. Aby ząbki uchronić przed wylamaniem, przygotowano do grzebieni składane pochewki rogowe, które oczywiście zdobiono według ówczesnej mody ornamentem z kresek poprzecznych i ukośnych, albo z pasm zygzakowatych, kratek i tak zwanych oczek, a czasem nawet dość skomplikowanym wzorem ze splecionych z sobą kółek koncentrycznych, rytym przy pomocy cyrkla.

Do ciekawszych i wielce wymownych wyrobów z rogu jelenia zaliczamy krażki do gry wytoczone na tokarce, po które sięgali mieszkańcy starego Gniezna dla rozrywki. O rodzajach rozrywek i formach odpoczynku dostępnych ówczesnym ludziom oraz ich ulubionych zajęciach mówią także jeszcze inne drobiazgi z rogu i kości, jak gwizdki, fujarki, łyżwy, płozy do saneczek, szydełka, ryłce, igły, guziki itp. Mają one jakiś bardzo osobisty wyraz, jakąś swoistą wymowę, charakterystyczną dla przedmiotów spotykanych w obrębie poszczególnych domostw. Być może, że noszą owo indywidualne piętno upodobań mieszkańców.

Bardzo ważny, łatwo dostępny i nietrudny do obróbki był materiał drzewny. Dzięki też tym walorom znalazł szerokie zastosowanie w gospodarce Gniezna i innych współczesnych grodów. Prawie każdy ówczesny mężczyzna znał się na ciesielstwie, wznosił domy dla swoich rodzin i całego dobytku, sporządzał różne drewniane sprzęty, tak bardzo przydatne w gospodarstwie.

Ale w takim dużym ośrodku, jakim we wczesnym średniowieczu było Gniezno, musieli istnieć także wysoko kwalifikowani cieśle-specjaliści, którzy wznosili konstrukcje obronne, budowali mosty, syпали groble, stawiali domy i mościli ulice. Dziełem ich jest przede wszystkim ten imponujący gnieźnieński gród.

W pracowniach stolarzy zawodowych powstawały ozdobne meble. Wędrowały one na zamek książęcy i do domów znacznych osobistości duchownych i świeckich. Niestety, okazy meblarstwa gnieźnieńskiego nie przetrwały do naszych czasów, zapewne uległy niszczycielskiemu działaniu ognia w licznych pożarach nękających „drewniane Gniezno”. Mamy jednak poważne podstawy, aby sądzić, że nie różniły się one od mebli z Gdańska czy Opoła, gdzie zachowały się fragmenty ozdobnych skrzyń i łoża.

Musieli być także bednarze sporządzający beczki do piwa – ulubionego wówczas napoju Polan, cebry, konwie i różne inne naczynia drewniane. Podziwu godna jest dokładność i staranność wykonania znalezionych fragmentów wyrobów bednarskich. Mówią one o dobrym rzemiośle.

Pisał kiedyś al-Idrisi, że w Gnieźnie zgromadzone są bogactwa z całego świata. Skąd się tam wzięły? Zwozili je kupcy z bliższych i dalszych ziem polskich, a także kupcy cudzoziemscy z odległych, czasem nawet bardzo dalekich krajów, a i rycerze wracający z wypraw wojennych przywozili mnóstwo wszelakich dóbr zdobytych na nieprzyjacielu. Drogi wtedy były wyboiste i trudne do przebycia, wozy więc trzeba było budować mocne, a nośne i jak najmniej wywrotne. Służyły one zresztą nie tylko jako środek transportowy, ale i komunikacyjny.

Kołodzieje budowali wozy według starej słowiańskiej tradycji. Miały cztery koła stpicowe, czyli szprychowe. Większość kół posiadała obody, czyli zewnętrzne części, wykonywane z jednego kawałka drewna. Aby drewno dało się odpowiednio wygiąć, trzeba było je najpierw moczyć i podgrzewać, a gdy nabrało elastyczności, bardzo wolno i ostrożnie zginano je dokoła pnia drzewa o takiej średnicy, jaką miało mieć koło. Niekiedy przy wyginaniu obodów stosowano specjalne formy.

Przy niektórych wozach stosowano już obody złożone z kilku części zwanych dzwonami. Wykonywano je oddzielnie, a ukośnie ścięte ich końce łączono następnie w całość specjalnymi kolkami. Połączenie to wzmacniano jeszcze klinami wbijanymi z obu stron.

Rozstaw kół u wozów wczesnośredniowiecznych był większy niż u dzisiejszych. Dzięki temu łatwiej utrzymywały równowagę, co przy kiepskim stanie dróg w owym czasie miało duże znaczenie. Na wóz można było załadować 500–750 kg towaru. Oczywiście, na bardzo wyboiste drogi bardziej nadawały się wozy z wysokimi kołami. Ponieważ koła znalezione na terenie Gniezna są różnej wielkości, przeto i wozy tutejsze miały rozmaite przeznaczenie.

Bliskość jezior każe się nam domyślać, że gdzieś w pobliżu Gniezna, o ile nie w samym Gnieźnie, istnieli korabnicy, którzy budowali łodzie-dłubanki z pni grubych drzew. Bardzo ładny okaz takiej łodzi z czasów Bolesława Chrobrego niedawno wyłowili pletwonurkowie z Jeziora Lednickiego, kilkanaście kilometrów od Gniezna.

Wystawę muzeum gnieźnieńskiego zdobi dziś także duże naczynie gliniane wydarte ziemi i starannie oczyszczone, posklejane i uzupełnione gipsem przez zręczne ręce laboranta. Ten brzuchaty gar z szerokim otworem służył do przechowywania zapasów żywności: zboża, kaszy, mąki itd. Spotyka się jednak jeszcze większe naczynia. Nazywamy je naczyniami zasobowymi.

Garncarze gnieźnieńscy wyrabiali także naczynia mniejsze, przeznaczone do gotowania strawy. Najmniejsze rozmiary miały naczynia stołowe – różne miski i kubki. Tu i ówdzie znajdują się nadto naczynia o specjalnym przeznaczeniu, jak np. prażnice – płytkie prostokątne niecki gliniane o grubych ściankach, używane do prażenia zboża.

Naczynia z pierwszych wieków wczesnego średniowiecza były lepiące tradycyjnym zwyczajem z wolnej ręki. Miały one zwykle powierzchnię chropowatą, ponieważ wyrabiano je z gliny zawierającej znaczną domieszkę piasku, a nawet tłuczonego granitu, aby je zabezpieczyć przed pękaniem w czasie wypalania. Od około VIII w. świeżo ulepione naczynia gliniane zaczęto obtaczać na krążku garncarskim. Praktycznie wyglądało to w ten sposób.

Najpierw garncarz formował dno, a potem stopniowo dolepił wałeczki gliny, formując z nich ścianki naczynia. Lepienie odbywało się na jednotarczowym krążku garncarskim, poruszonym ręcznie, co bardzo ułatwiało garncarzowi pracę. Po ulepieniu całego naczynia garncarz jedną ręką wprawiał w ruch krążek, a drugą za pomocą szmatki lub kawałka skóry wygładzał powierzchnię naczynia.

Wreczcie przychodziła kolej na ostatni zabieg – kosmetyczny, bo przecież przedmioty, które tworzył, musiały być piękne. Wymagała tego odwieczna dążność rodzaju ludzkiego do piękna, przejawiająca się niemal od zarania jego dziejów – w zdobnictwie. Tak więc i garnek ulepiony przez gnieźnieńskiego garncarza, zanim wysechł i powędrował do pieca, został pokryty ornamentem wrytym na jego powierzchni grzebykiem, rylcem lub po prostu patykiem.

Różne to były wątki zdobnicze, ale chyba największą popularnością cieszyły się pasma faliste, a następnie jodelki, zygzaki, ukośne kratki itp. Czasem wycinano ozdoby stempelkiem, wykonanym z okrągłego lub czworokątnego drewnianka, na którego równo uciętym końcu powycinano bruzdy z krzyżujących się linii.

Od X w. naczynia nasze są już tak pięknie obtaczane, że gdyby nie widoczne jeszcze często od wewnątrz ślady ręcznego zlepiania ścianek z wałeczków, można by przypuszczać, iż są wytoczone z jednej bryły gliny na kole garncarskim. Oglądając je bliżej, zauważamy jeszcze, że na ich dnach znajdują się jakieś dziwne znaki – kółka, krzyżyki, koła szprychowe, gwiazdy pięcioramienne, swastyki, strzałki i inne. Są to znaki rozpoznawcze pracowni garncarskich, zwane gmerkami. Wycinano je na środku tarczy koła garncarskiego, więc odbijały się na dnach i stanowiły jakby metrykę urodzenia naczynia.

Wiele bowiem było pracowni garncarskich na terenie Gniezna i w jego okolicy. Po nich możemy nieraz poznać, jak daleko sięgał rynek zbytu garncarza, kiedy odciski tego samego znaku znajdziemy na przykład na naczyniach wykopanych w Kruszwicy, Biskupinie lub na Ostrowie Lednickim.

Garncarze wyrabiali nie tylko naczynia. Z ich pracowni pochodzą też różne grzechotki, przęśliki, czyli ciężarki do wrzecion, a także wspaniałoposadzka mozaikowa z płytek glinianych pokrytych barwną glazurą, jaka zdobiła katedrę gnieźnieńską za Chrobrego.

W ówczesnym piecu garncarskim mieściło się około 40 naczyń różnej wielkości, a jedna pracownia garncarska mogła wyrobić zawartość około 20-krotną. Czyli że jeden garncarz z pomocnikiem mógł w ciągu roku dostarczyć na rynek kilkaset garnków.

Mieszkańcy wczesnośredniowiecznego Gniezna nie mogli też narzekać na brak obuwia. Utwierdza nas w tym przekonaniu duża różnorodność modeli oraz wysokie gatunki skóry. Były to przeważnie skóry owiec, kóz, a czasem też cieląt, krów, jeleni i dzików. Garbarze ówcześni wyprawiali skóry wprost po mistrzowsku. Do usuwania włosa używano najprawdopodobniej ługu roślinnego, a garbowanie, zwane też dębieniem, odbywało się przy użyciu kory dębowej z domieszką świerkowej. Zresztą do każdego gatunku skóry stosowano odpowiedni garbnik, np. safian z koziej skóry otrzymywano przez użycie garbnika z rośliny zwanej sumak.

Możliwe, że początkowo garbowanie skóry i wyrób przedmiotów skórzanych spoczywało w rękach jednego specjalisty, z czasem jednak podzielono się na odrębne grupy. Zdobyte doświadczenie przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie w rodzinach trudniących się tą pracą.

Garbarze i szewcy gnieźnieńscy, podobnie jak opolscy i gdańscy, potrafili doskonale sklejać skóry z kilku płatów, wykorzystując przy tym wszystkie odcinki skóry zwierzęcej. Otrzymany w ten sposób produkt skórzany był bardzo trwały i doskonale nadawał się do wyrobu obuwia. Ciekawe, że klej użyty do ich łączenia, mimo tylu minionych wieków, do dziś trzyma je silnie w zwarciu.

Nie mniej godne uwagi są wyroby szewskie. Z zachowanych fragmentów obuwia możemy wywnioskować, że szewcy gnieźnieńscy znali wiele fasonów obuwia. Najwięcej modeli szyto z trzech kawałków skóry, łączonych nieraz ozdobnymi ściegami. Zależnie też od jakości stosowanych ściegów dobierano do nich odpowiednie nici: lniane do ściegów za igłą i na okrętkę, a cienki rzemyczek do ściegu kłosowego, przewlekanego, spiralnego itd.

Buciki letnie miały przeważnie niskie cholewki i często były zdobione wycięciami, a także kolorowym haftem. Zimowe obuwie miało cholewki wysokie i grube podeszwy – z kilku warstw sklejaney skóry. Aby osiągnąć maksimum ciepła w zimie, noszono obuwie większych rozmiarów, gdyż stopy dobrze owijano szmatami.

Modele obuwia z omawianych czasów znamy nie tylko z zachowanych okazów i ich fragmentów, ale także możemy je obejrzeć na słynnych Drzwiach Gnieźnieńskich z XII w. Prawie wszystkie buty mają zaokrąglone nosy – widocznie wtedy takie były w modzie. Do rzadkości zaś należały buciki podobne do góralskich kierpców, szyte z jednego kawałka skóry.

Ale nie tylko obuwie urobiło dobrą opinię rzemieślnikom gnieźnieńskim. Inne wyroby skórzane, jak siodła, pochwy do noży, pasy, miechy dla kowali i hutników, miechy do instrumentów muzycznych zwanych dudami, mieszki na pieniądze, szerokie pasy ze schowkami na pieniądze – tak zwane trzosa, używane przez wojów, także pochlebnie świadczą o ich umiejętnościach.

Kręć się, kręć, wrzeciono!

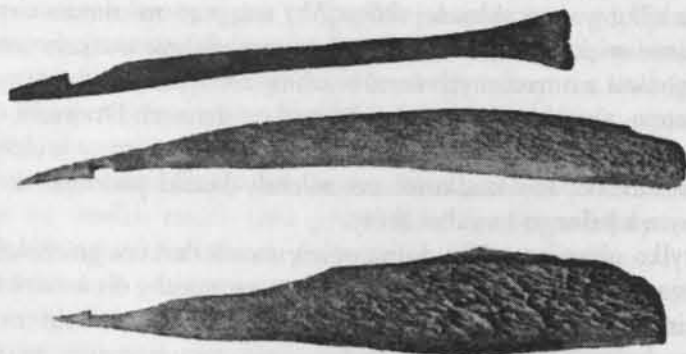
Dobrze mieszkający i ładnie obuci mieszkańcy Gniezna musieli i szaty mieć godne. Zależało to zresztą w znacznej mierze od przynależności klasowej. Moźni ubierali się w piękne i drogie szaty z jedwabiu, adamaszku, cienkiego i zarazem drogiego sukna oraz delikatnego lnianego płótna. Wspaniałe futra nie należały do rzadkości. Do uświetnienia stroju przyczyniały się nadto ozdoby ze srebra i złota, którymi czasem obwieszano się aż do przesady, o czym możemy wnioskować z wypowiedzi kronikarza Galla, w związku z opisem zjazdu w roku tysięcznym.

Wspaniałości te pochodziły przede wszystkim ze zdobyczy wojennych albo z darów książęcych, dostarczali ich też kupcy zagraniczni przyjeżdżający tu czasem z dalekich stron albo kupcy miejscowi wędrujący po obcych krajach w pogoni za oryginalnościami, na które u nas był duży popyt.

Ludzie mniej majątni nosili szaty z grubszych welen i płócien miejscowego pochodzenia. Ozdoby ich były skromniejsze, wykonane z niedrogich metali, a czasem i ze szkła.

Aby dostarczyć odpowiedniej ilości przędzy, kobiety musiały się wiele namożolić. Wedle obserwacji etnograficznych jedna prządka może w ciągu dnia wysnuć około pół kilograma nici z przędzy lnianej, a z owczej wełny tylko 25 dkg, z tym że cieńszą nić przędzie się dłużej. Możliwe, że między gnieźnieńskimi kobietami były zawodowe prządki, które całe dnie poświęcały tej czynności. Sądząc jednak po ogromnej ilości (ponad 500 sztuk) przęślików – to jest ciężarków do wrzecion, znalezionych na niewielkim obszarze zbadanego Gniezna wczesnośredniowiecznego, oraz wrzecion i przęślic, czyli drążków do umocowania kądzieli, występujących niemal w każdym domu, prząść musiały prawie wszystkie kobiety.

Zwłaszcza w długie zimowe wieczory, kiedy mniej było pracy przy gospodarstwie, we wszystkich domach wirowały wrzeciona. Nawet księżna w towarzystwie dworek i panien służebnych zajmowała się przędzeniem. Często kobiety z różnych pobliskich domów zbierały się na umówionym miejscu, zasiadały na ławach każda ze swoją przęślicą i wrzecionem, aby snuć nici przy wesoło trzaskającym ogniu.



Szydelka z Gniezna

Nowicjuszkom praca szła niezgrabnie i wolno. Co chwilę spoglądały w stronę najlepszej prządki: jak posłusznie kręci się jej wrzeciono! Jak pewnie poruszają się ręce! Lewą ręką skubnie trochę przędzy z kądzieli, zwilży śliną palce i szybko skręca przędzę w nić równą i cienką. Wrzeciono wprawione w ruch wiruje szybko. Kiedy nowa nić jest już dość długa, prządka nawija ją na wrzeciono i snuje dalej.

Wesoło i rażno szła robota przy wtórce pieśni i ciekawych opowiadań. Gotową przędzę po wypraniu zwijano na wijatki (przybory podobne do wiatraczków), sporządzone z dwóch skrzyżowanych drążków przymocowanych do pionowej podstawki. Aby otrzymać materiał kolorowy, barwiono przędzę barwnikami roślinnymi. Szczaw dawał kolor zielony, jagody i czerw barwiły na czerwono, z kory i liści orzecha włoskiego uzyskiwano barwę brunatną.

O ile z całą pewnością wiemy o powszechności przedziałnictwa, to o tkactwie niewiele możemy powiedzieć. Wśród znalezisk gnieźnieńskich brak dotąd warsztatów tkackich lub choćby ich części. Może po prostu nie zostały jeszcze odkryte? W każdym razie tkactwo, jako zajęcie pochłaniające wiele czasu i wymagające dużego doświadczenia, pewnie dość wcześnie stało się rzemiosłem.

Tkacze gnieźnieńscy w owym czasie tkali materiały zapewne już na ulepszonych krosnach poziomych, jakie zaczęły wypierać prymitywniejsze dawne warsztaty pionowe. Do wyrobu wąskich tkanin wystarczały specjalne deseczki tkackie, zwane bardo, znane z kilku osad wczesnośredniowiecznych w Polsce.

Prostą, nieskomplikowaną w kroju odzież kobiety szyły dla swoich rodzin same, ale wykwintniejsze stroje wychodziły z pracowni specjalisty. Do krojenia materiałów służyły nożyce do strzyżenia owiec. Wtedy miały one przeznaczenie uniwersalne, bo służyły zarówno do krawiectwa, jak i do strzyżenia owiec, a także do usuwania zarostu u mężczyzn. Wykrojone części odzieży zszywano igłą metalową. Do zszywania luźnych tkanin wełnianych mogły służyć także igły kościane, dość popularne wśród znalezisk gnieźnieńskich.

Wiele kobiet gnieźnieńskich zajmowało się dziewiarstwem, którego początki sięgają przynajmniej XI w. Za pomocą haczykowatych szydełek z kości lub rogu zaopatrywały swoich najbliższych w ciepłe okrycia głowy, w szale, rękawice, a może nawet swetry.

We włsnym zakresie sporządzano powrozy, kosze itp., bo zajęcia te w omawianych czasach nie należały do rzemiosł.

Jak widać z tego krótkiego przeglądu rzemiosł w Gnieźnie współczesnym al-Idrisiemu, zasługiwały one w pełni na jego pochwałę.



Igły kościane z Gniezna

Na gnieźnieńskim targu

Świetnie rozwijająca się wytwórczość rzemieślnicza stworzyła bardzo dobre warunki dla handlu. Gnieźnieński rynek zbytu zaopatrywał w potrzebne wyroby nie tylko ludność miejscową i z najbliższych okolic, ale sięgał nawet do innych dzielnic Polski i do obcych krajów, często bardzo odległych.

Z pewnością musiało być w Gnieźnie jakieś specjalnie wydzielone miejsce, gdzie najpierw sami rzemieślnicy, a później już ich pośrednicy – kupcy rozkładali swe towary, aby ludność z okolicznych osad rolniczych mogła się zaopatrzyć w narzędzia rolnicze i inne wytwory rzemieślnicze, płacąc produktami rolnymi. Możliwe, że na czas targów na miejscu targowym ustawiano ławy, a może nawet kramy.

Kupcy przybywający z towarem do miasta musieli najpierw otrzymać zezwolenie na złożenie towaru, który dokładnie ważono lub mierzono w zależności od jego rodzaju. Osobną zaś opłatę wnosili za pozwolenie na sprzedaż. Przy tych operacjach towarzyszył zwykle doświadczony znawca pieniędzy – mincerz książęcy, gdyż za pierwszych Piastów nie było jeszcze w Polsce monety obiegowej.

Chociaż spotyka się sporadyczne znaleziska monet polskich z czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego, to były one wybijane tylko z okazji jakichś ważnych wydarzeń, jak np. jedna z monet dla uczczenia zjazdu w tysięcznym roku. Na innej monecie z czasów Bolesława Chrobrego widnieje napis:

PRINCES POLONIE

Jest to pierwszy zapis utrwalonej już wtedy nazwy państwa polskiego.

Opłaty składano więc w monetach srebrnych różnego pochodzenia: arabskich, bizantyjskich, węgierskich, czeskich, niemieckich itp. Aby się nie zgubić w tej różnorodności, mincerz sprawdzał jakość srebra, a potem kładziono je na wagę i odważano według wartości towaru. Scena ważenia srebra, które miało stanowić zapłatę za wydanie ciała św. Wojciecha, przedstawiona jest na słynnych Drzwiach Gnieźnieńskich.

Wydzielone miejsce, gdzie odbywały się targi, znajdowało się poza wałami kompleksu grodowego. Osada ta świetnie nadawała się do tego celu, gdyż leżała u zbiegu ważnych szlaków komunikacyjnych, a bliskie sąsiedztwo grodu książęcego działało na kupców jak magnes; zwłaszcza na kupców zagranicznych, którzy handlowali towarami luksusowymi. Wygodnie także było z tym targiem w pobliżu zamku właścicielom ziemskim, bo jadąc załatwić jakąś sprawę grodzie, można było od razu na targu sprzedać produkty rolnicze i zaopatrzyć się w potrzebne w gospodarstwie artykuły rzemieślnicze.

Dla rzemieślników nastaly wtedy specjalnie dobre czasy. Popyt na ich towary stale wzrastał, więc chętnie ściągali do Gniezna i osiedlali się w osadzie targowej, która dzięki temu szybko się rozrastała. Rzemieślnicy zaś produkując coraz więcej, zmuszeni byli często posługiwać się przy sprzedaży swoich wyrobów pośrednikami. Z nich to z biegiem czasu wykształciła się nowa grupa społeczna – kupcy. A osada



Denar Bolesława Chrobrego

targowa dzięki sprzyjającym okolicznościom już w X w. przeobraziła się w ośrodek miejski w pełnym tego słowa znaczeniu.

W dwa wieki później znany nam już al-Idrisi nazywa Gniezno miastem ludnym i pięknym. Tak więc Gniezno jest jednym z przykładów, że miasta polskie nie powstały, jak dawniej sądzono, w wyniku kolonizacji niemieckiej i poprzez nadanie praw miejskich, ale wyrosły na rodzimym podłożu kształtujących się stosunków produkcyjnych, wyprzedzając znacznie datę lokacji.

Początkowo zapewne wymiana towarów między miastem a wsią odbywała się nieregularnie. Możliwe, że kupcy wykorzystywali różne uroczystości i zjazdy, by zaprezentować swoje towary. Te okazjne targi później unormowano wyznaczając jeden dzień w roku, zapewne 23 kwietnia poświęcony patronowi Gniezna. Taki targ nazywano jarmarkiem, to znaczy targiem dorocznym. Później równie wielki jarmark odbywał się w dzień św. Bartłomieja itd.

W Gnieźnie wtedy musiały być już jakieś karczmy zaopatrzone w piwo i gorące strawy, gdzie mogli ugasić pragnienie i posilić się obcy kupcy. Możemy sobie wyobrazić, jak tłoczno i gwarno było na miejscu targu, które przecież nie było wielkie.

Wśród różnych notatek al-Idrisiego znajdujemy jeszcze jedną pochlebną wzmiankę o Gnieźnie, że „tu są zebrane dostatki rozmaitych krajów”.

Po tych dostatkach zostały dziś tylko drobne okruchy. Są to przeważnie monety i ozdoby. Najłatwiej jest ustalić datę i rozpoznać pochodzenie monet, co jest całkiem zrozumiałe. Gorzej natomiast z takimi drobiazgami jak paciorki, których w Gnieźnie znaleźliśmy ponad 300 sztuk, albo przęśliki – w jeszcze pokąźniejszej liczbie – ponad pół tysiąca.

Ale i one wobec czujnych oczu znawców przeobrażają się w wartościowe dokumenty. I tak: spomiędzy tej dużej ilości paciorków wykonanych z różnych materiałów – szkła, karneolu, kryształu górskiego, opalu, serpentynu i bursztynu, rozpoznano, że niektóre wyroby szklane i z kamieni półszlachetnych to po prostu rozsypane fragmenty efektownych niegdyś naszyjników, przywiezionych do Gniezna, być może, za pośrednictwem kupców ruskich aż z dalekiej Syrii lub Egiptu, a może też niektóre z nich pochodzą z samej Rusi.

Te zaś złociste, jak krople zastygłej żywicy, to wyroby z nadbałtyckiego bursztynu. Jest nawet prawdziwa perła. Wiele paciorków i innych wyrobów szklanych, a zwłaszcza pierścionki mogły wyjść z pieców szklarskich odkrytych



Kubek rogowy z Gniezna

niedawno w pobliskiej Kruszwicy, a być może i z samego Gniezna, gdzie wiele śladów pośrednich zdaje się uzasadniać nasze domysły.

Spomiędzy ogromnej liczby przeszłików wyrabianych z gliny większość jest rodzimego pochodzenia. Wyróżniają się natomiast przeszłiki z różowego łupku, sprowadzane do nas z okolicy Owrucza na Wołyniu.

Od południa, z niedalekich Czech, przedostał się rogowy kubek pięknie zdobiony. A zagadkowe, skamieniałe przedmioty w kształcie jaj pokryte wzorzystą kolorową polewą to gliniane pisanki przywiezione z Rusi. Być może, miały jakieś znaczenie kultowe. Mała żelazna sprzączka i ozdobione żelazne okucie do pasa mają za sobą dość długą drogę z Węgier. Z Węgier pochodzi również moneta z czasów króla Salomona z ok. 1080 r.

Na wagach brązowych, za pomocą żelaznych odważników, które za pośrednictwem Skandynawów dostały się do Gniezna aż z Arabii, odważano w srebrze zapłatę za towar pod czujnym okiem doświadczonego mincerza. Może właśnie ta drobna moneta węgierska zsunęła się z szali nie zauważona i została wdeptana w ziemię przez kręcących się tu licznych interesantów. Dzięki temu możemy ją dziś oglądać na wystawie muzealnej.

A jakie losy przywiodły do nas małą uroczą gemmę z karneolu z wyłobioną postacią kobiety? Ile przygód, wesołych czy smutnych, spotkało ją na drodze od słynącego z przepychu Bizancjum do stołecznego grodu Polski? Albo duża muszla, którą przyniesiono tu aż ze słonecznej Hiszpanii... Gdyby mogły przemówić, miałyby nam pewnie wiele do powiedzenia. Lecz dla archeologów stanowią one tylko ważne ślady dróg handlowych, wiodących z różnych stron świata ku naszej stolicy, gdzie przebywał władca ziemi Polan, bo tam można było spieniężyć wszelkie atrakcyjne towary.

Najdziwaczniejszym, niepowtarzalnym towarem, który oglądało Gniezno, był zapewne wielbłąd – prawdziwy, najoryginalniejszy wielbłąd z krwi i kości, którego przywieźli kupcy arabscy dla Mieszka I w 985 r. Ten zaś z kolei wysłał go do Niemiec, jako podarek dla młodziutkiego naówczas, późniejszego cesarza Ottona III.

Wśród kupców zagranicznych było dużo Żydów. Ich specjalność handlowa to oprócz soli futra polskie sprzedawane do dalekich krajów oraz niewolnicy. Tak! Tak! Właśnie niewolnicy – jeńcy wojenni z krajów „barbarzyńskich”, sprzedawani jako siła robocza za pośrednictwem Żydów w krajach arabskich. Według Galla Anonima jeszcze w XII wieku Judyta, żona Władysława Hermana, wykupywała takich niewolników.

No cóż? Jechał sobie taki kupiec, tu kupił, tam sprzedał. Bogacił się. To wszystko wydaje się całkiem łatwe i proste, ale w rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej.

Podróże były bardzo męczące, długie i niebezpieczne. Wyboiste i grząskie drogi, zwłaszcza po długotrwałej słońcu, sprawiały podróżnym wiele kłopotów. Szczególnie trudny do przebycia był dojazd do grodów pobudowanych starym słowiańskim zwyczajem wśród łąk, mokradel i jezior. Trakt komunikacyjny szedł przez groble, a gdzieś tam do grodów leżących na wyspach trzeba było jechać po długim moście łączącym wyspę z brzegami jeziora. Taki most łączył Ostrów Lednicki z zachodnim i wschodnim brzegiem Jeziora Lednickiego, a łączna długość jego wynosiła około 600 m.

Najgorsze jednak były drogi przez tereny nadgraniczne, gęsto porośnięte lasami. Nietrudno tam było o niewesołą przygodę, gdyż na karawany kupieckie często napadali rabusie, pozbawiając kupców nie tylko mienia, ale i życia. Toteż nigdy kupiec nie wybierał się w drogę w pojedynkę. Dobra głowa do interesów niewiele mogłaby mu pomóc, gdyby z zarośli wyskoczyła zgraja opryszków. A więc kupcy oprócz zdolności do handlu musieli posiadać także takie zalety, jak odwagę i dzielność, których zwykle wymaga się od rycerza, a do tego jeszcze doborową zbrojną drużynę dla ochrony.

Przejeżdżając obok grodów, kupcy składali w nich wysokie opłaty przewozowe. Lecz mimo niewygód, wysokich opłat i niebezpieczeństw, widocznie opłacały im się te dalekie wojaże, skoro ryzykowali życiem.

Podróżowali zresztą nie tylko kupcy. Często gośćmi na szlakach dalekosieżnych bywali rycerze i dostojnicy kościelni, którzy pełnili przy dworze królewskim ważne funkcje i nieraz w zastępstwie władcy udawali się z misją dyplomatyczną na obce dwory.

Podróżowali także sami książęta i różni inni feudałowie. Zapewne oprócz korzyści materialnych i inne walory dalekich przedsięwzięć przyciągały podróżników; jednych wabiły przygody, innych ciekawość wielkiego świata lub perspektywa zdobycia majątku.

Ze źródeł pisanych wiemy, że Mieszko I odwiedzał grafa niemieckiego Hodona, że Bolesław Chrobry jako młodzieniec przebywał jakiś czas na dworze niemieckim, a gdy był już u steru władzy, w tysięcznym roku towarzyszył cesarzowi Ottonowi w podróży po Polsce. Był też z wyprawą wojenną w Czechach i na Rusi. Syn jego Mieszko II wychowywał się w klasztorze benedyktyńskim we Włoszech, a w niemieckim klasztorze pobierał nauki Kazimierz zwany później Odnowicielem.

Jak widzimy, kontakty z zagranicą były żywe. Sam Bolesław Chrobry słał kilka razy swoich przedstawicieli do Rzymu w sprawie arcybiskupstwa i korony.



Waga z Drzwi Gnieźnieńskich

Uczestnicy podróży kupieckich czy misji dyplomatycznych, jak i wypraw wojennych oprócz korzyści materialnych zdobywali dużo doświadczenia życiowego, uczyli się wytrwałości, cierpliwości i zaradności. A poza tym poszerzały się znacznie horyzonty ich wiedzy: poznawali nowe kraje, nowe krajobrazy, kultury, obyczaje, systemy polityczne, religie, cywilizacje, języki – cały ogrom ówczesnej wiedzy o człowieku, świecie i życiu. Byli oni roznościcielami tej wiedzy, z której zapewne korzystali nieraz władcy Gniezna, wytyczając szlaki swoich wypraw wojennych, zwłaszcza w początkowym stadium powstawania państwa, kiedy to może dalekosiężni kupcy pośredniczyli nawet w nawiązywaniu stosunków politycznych z obcymi krajami.

Wiedza o obcych krajach pogłębiała się jeszcze przez osiedlanie się w Polsce mnichów i księży pochodzących z Włoch, Czech, Francji i innych krajów. Pewien wkład w kulturę polską dawały również żony naszych władców – cudzoziemki, które przybywały na dwór gnieźnieński w otoczeniu dam i panien służebnych, duchownych i świeckich dostojników.

Dzięki tym wszystkim czynnikom wiele zdobyczy praktycznych, wiadomości teoretycznych i zwyczajów panujących na szerokim świecie przyjmowało się u nas, stając się własnością polskiego społeczeństwa. Oczywiście, stołeczne Gniezno za pierwszych historycznych Piastów było głównym odbiorcą tych korzyści.